Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT — FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 162 (Rok X, Nr 19) 15 października 1950 Cena (Price) 1/6

AMERYKA W OFENSYWIE

WOJSKA amerykańskie i sprzymierzone przekroczyły słynny 38 równoleżnik. Zgromadzenie Narodów Zjednoczonych obradujące we Flushing Meadow (co znaczy rumieniejąca łąka), większością 47 głosów, przeciwko 5 głosom sowieckim a przy wstrzymaniu się od głosu 8 państw azjatyckich, głównie arabskich, uchwaliło upoważnienie dla wojsk Narodów Zjednoczonych do przekroczenia dawnej linii okupacyjnej i zajęcia całego terytorium narodowego Korei a następnie do pozostania w niej tak długo jak wymagać będą okoliczności. Oznacza to, że wojska amerykańskie mają znaleźć się o dwadzieścia minut lotu od Władywostoku i na drodze z Mandżurii do Portu Arthura.

Równocześnie Zgromadzenie Narodów Zjednoczonych wybrało nową komisję koreańską złożoną z przedstawicieli: Australii, Chile, Holandii, Pakistanu, Filipin, Turcji i Syjamu. Pozycja rządu Syngmana Rhee (lub Li Syng Man, jak z chińska piszą Rosjanie a za nimi prasa krajowa) stała się nieco dwuznaczna. Jest on uznany za legalny rząd koreański w odniesieniu do kraju na południe od 38 równoleżnika. Mocarstwa jednak patrzą bardzo krytycznie na zdolności tego rządu i de facto nie mają zamiaru przyznać mu uprawnień rządowych na północ od równoleżnika. Zamierzają same przeprowadzić wybory w całej Korei i dopiero na ich podstawie uznać i poprzeć właściwy rząd. Ta ostrożność i niepewność rzuca ciekawe światło na to, jaka może być w przyszłości polityka anglosaska w stosunku do krajów wyzwalanych.

Uchwale w sprawie koreańskiej towarzyszy rewolucja w samym ONZ. Wedle statutu przyjętego w San Francisco w 1945 r. Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych miało rolę raczej dekoracyjną a cała decyzja spoczywała w Radzie Bezpieczeństwa. W ówczesnym entuzjazmie dla Wielkich Obszarów i naiwnych wnioskach z „kurczenia się świata" uznano, że liczą się tylko wielkie mocarstwa. Na siedmiu członków Rady Bezpieczeństwa trzech jest wybieranych i zmiennych a czterech czyli większość stanowią członkowie stali: Stany Zjednoczone, Sowiety, Brytania i Chiny. Jeżeli Ameryka tak broni udziału Chin Cziang-Kaj-Szeka w ONZ to nie tylko ze względów zasadniczych ale także dlatego, że w razie wejścia w ich miejsce Chin komunistycznych, większość w Radzie Bezpieczeństwa byłaby zagrożona: stali członkowie 2 przeciw 2, wśród niestałych niech będzie jeden w jakiejś sprawie prosowiecki a drugi neutralny, i klucz do organizacji światowej może znaleźć się w ręku Sowietów.

Rewolucja wewnętrzna polega na tym, że Amerykanie postanowili przenieść ciężar organizacji z zablokowanej wetem sowieckim Rady Bezpieczeństwa na Zgromadzenie Ogólne, a to przez upoważnienie Zgromadzenia do decydowania o wojnie w imieniu Narodów Zjednoczonych. Tej rewolucji mocno opierali się Anglicy. Jako mocarstwo kolonialne, mające swoje interesy i swoje zatargi we wszystkich zakątkach globu, obawiali się oni, że Zgromadzenie, w którym poważną część stanowią przedstawiciele państw pozaeuropejskich, może być w swoich posunięciach ambarasujące lub nawet groźne. Nie wiemy jakimi argumentami Amerykanie uspokoili Anglików, w każdym razie rewolucja, wbrew protestom sowieckim, została dokonana. Towarzyszy jej zmiana polityki angielskiej w sprawach kolonialnych. Dotąd Brytyjczycy odmawiali dyskusji nad sprawami terytoriów powierniczych, mandatowych i kolonialnych w Zgromadzeniu ONZ. Ostatnio oświadczyli, że zmieniają zdanie i będą udzielać jak najdokładniejszych informacji i odpowiedzi na wszelkie interpelacje.

Obok tego wyrównania polityki obu państw anglosaskich nastąpiły dalsze. Amerykanie odwołali misję wojskową z Formozy, ustanowioną tam tak niedawno przez gen. Mac Arthura ku niezadowoleniu Anglików, i zapowiadają, że z chwilą końca działań wojennych w Korei odwołają patrolowanie przez flotę amerykańską wód między Formozą a Chinami. Najważniejsze są wszakże rozmowy w sprawie udziału kapitału amerykańskiego w tzw. planie kolombijskim pomocy inwestycyjnej dla państw południowej i południowo-wschodniej Azji. Sprawa stała się ostatnio paląca wobec gwałtownych postępów inflacji w Indiach, która może grozić katastrofą polityczną w tej części Azji.

Pozostaje zawsze to samo i zawsze decydujące pytanie: Co na to Sowiety? Prasa brytyjska starannie zbiera wiadomości wskazujące na to, że Kreml przełknie upokorzenie i odpisze Koreę na straty. Istotnie nic zdaje się nie wskazywać na to, by po rozgromieniu komunistów koreańskich Sowiety miały pchnąć wojska do walki. Gdyby bolszewicy byli gotowi do trzeciej wojny światowej, zapewne przyszliby wcześniej z pomocą komunistom koreańskim. Wbrew temu, co się dość powszechnie uważa, Sowiety łatwo znoszą klęski prestiżowe. Rząd ich nie opiera się na opinii i nie dopuszcza do jej istnienia. Jest przy tym cierpliwy, w Azji nieraz już „tracił twarz" i nie szkodziło mu to na długo.

Nieprzyjemna będzie obecność Amerykanów w pobliżu Władywosto-

ku, ale ostatecznie Amerykanie nie mogą tam zgromadzić sił równych sowieckiej armii Dalekiego Wschodu. Przede wszystkim zaś pozostaje broń polityczna. W wyborach w Korei amerykańskiej brało udział ponad sto partii, niemal tyle ile było miejsc w parlamencie, co znaczy, że nie ma tam żadnej prawdziwej partii; w wyborach w Korei sowieckiej brała naprawdę udział tylko jedna partia, komunistyczna. Klęska wojskowa nie zmiecie jej z powierzchni ziemi a problemy społeczno-gospodarcze nie tylko nie zostały rozwiązane przez zwycięstwo amerykańskie, lecz pogorszone i zaostrzone przez niszczącą kampanię. Przy tym utrzymywanie frontu w Korei do wiosny nie jest niemożliwe a dalej zawsze otwarte są możliwości dla ruchów partyzanckich i sabotażowych.

Sowiety poniosły ostatnio trzy porażki: jedną dyplomatyczną przez dopuszczenie do uchwały Rady Bezpieczeństwa w sprawie upoważnienia Ameryki do wojny w Korei, drugą wojskową przez rozgromienie wojsk komunistycznych w Korei, trzecią, najmniejszą, rewolucyjną przez nieudanie się „putschu" komunistycznego w Austrii. Sowiety mogą strawić te trzy klęski. Mogą czekać zbrojąc się. Liczą zapewne na opadnięcie nastroju wojennego w Ameryce, na trudności gospodarcze Stanów, zmuszonych do częściowego uzbrojenia, do utrzymywania poważnej siły w Azji, do pomocy finansowej jednocześnie dla Europy zachodniej i Azji południowej.

Oczywiście nigdy nie dowiemy się aż do ostatniej chwili, kiedy Sowiety zdecydują się na wojnę powszechną. Nie należy jednak upraszczać sobie sytuacji twierdzeniem, że zbrojenia muszą prowadzić do wojny w określonym czasie. Wprawdzie zbrojenia są obecnie nieporównanie kosztowniejsze niż w dawnych czasach, ale i możliwości produkcyjne krajów przodujących są nieporównanie większe. Kraje te mogą znosić ciężar zbrojeń, jak mogły go znosić państwa europejskie w początkach bieżącego stulecia. W ostatecznej mierze o tym kiedy będzie trzecia wojna światowa zadecydują nie czynniki techniczne ale psychiczne.

Nasuwa się jeszcze jedna uwaga: nie należy doszukiwać się analogii z położeniem przed drugą wojną światową, kiedy tylko jedna strona była przygotowana, ale raczej już szukać analogii z okresem przed pierwszą wojną światową, kiedy przeciwne bloki były zorganizowane i stały przez kilka lat naprzeciw siebie w pogotowiu zbrojnym.

DWIE BECZKI PROCHU

Umowa poczdamska ustawiła w środku Europy dwie beczki z prochem w postaci Berlina i Wiednia, wspólnie okupowanych przez Zachód i Wschód. Berlin przestał już być właściwie wspólnie okupowany i podzielił się na dwa miasta: sowiecką stolicę „republiki demokratycznej" i trójsektorowe miasto zachodnie. Podział ten ostatnio przypieczętowany został uroczystym proklamowaniem zachodniego Berlina jako osobnego kraju republiki związkowej. Proklamacji dokonali najwyżsi dostojnicy z Bonn w Berlinie.

W Wiedniu dotąd trwała wspólna administracja. Korzystając z tego bolszewicy postanowili przy pomocy zorganizowanych i uzbrojonych w swoim sektorze komunistów austriackich obalić rząd chrześcijańsko-społeczny urzędujący w Wiedniu. Pisząc te słowa nie wiemy jeszcze, jakie będą konsekwencje tych zamieszek. Może celem ich jest doprowadzenie do sytuacji berlińskiej, tj. do podziału Wiednia na dwa miasta, przy czym we wschodnim Wiedniu zasiądzie rząd sowiecki „Austriackiej Republiki Ludowej". Wręcz dziwne, że go dotąd jeszcze nie było.

PRACE NAD PLANEM SCHUMANA

Jak wynika z ostatniego sprawozdania konferencji sześciu krajów kontynentalnych (Belgia, Francja, Holandia, Luksemburg, Niemcy, Włochy) prace przygotowawcze nad planem Schumana posunęły się znacznie naprzód w porównaniu do pierwszego raportu przyjętego 5 sierpnia br. Drugie sprawozdanie stosunkowo najmniej zajmuje się zagadnieniem organów, które mają się zająć zarządem i kontrolą kompleksu połączonych przemysłów węglowego i stalowego. Struktura tych organów została już w zasadzie uzgodniona w pierwszej fazie rokowań. Jest ona wielostopniowa i obejmuje: Wysoki Zarząd złożony z 6 do 9 członków mianowanych łącznie przez wszystkie rządy na zasadzie indywidualnych kwalifikacji; Wspólne Zgromadzenie delegatów parlamentów, raz do roku wysłuchujące sprawozdania Zarządu i wyposażone w prawo krytyki, nie może ono natomiast ingerować w decyzje Zarządu; Radę Ministrów, która miałaby w pewnych wypadkach wydawać zalecenia Zarządowi, co jednak nie jest równoznaczne z ogólną nad nim kontrolą; wreszcie ostatnim organem byłby Trybunał, który czuwałby nad ścisłym przestrzeganiem przez Zarząd traktatu.

W ostatnim sprawozdaniu z 27 września jedynie funkcje Rady Ministrów i jej stosunek do Zarządu zostały wyraźnie sprecyzowane, podczas gdy wszystkie inne organy pozostały niezmienione. Rada zaś ministerialna ma być tą instytucją, poprzez którą zasadnicza polityka poszczególnych rządów w zagadnieniach węgla i stali będzie komunikowana Zarządowi; z drugiej zaś strony wszystkie propozycje Zarządu w zakresie stosunków całego obszaru objętego planem do krajów znajdujących się po za nim, mają być zatwierdzane przez Radę.

Niemniej — jak wynika z rezultatów ostatnich rokowań — delegacje wszystkich krajów były zgodne co do tego, że Zarząd powinien pozostać nieuszczuplony w jego kompetencjach i że jego charakter ponadnarodowy i niezależny powinien pozostać nietknięty. Odnosi się to przede wszystkim do zagadnienia utworzenia jednego rynku dla węgla i stali w ramach tych sześciu państw, a także do produkcji i cen, polityki inwestycyjnej i handlowej. Jeśli chodzi o bezpośredni wpływ na regulowanie warunków pracy i płac, uznano, że te sprawy należą do parlamentów poszczególnych krajów, chociaż koordynacja i wyniki studiów we właściwych komitetach organu zarządzającego z natury nie pozostaną bez znaczenia i w tej dziedzinie.

W dziedzinie planu ściśle gospodarczego szczególnie wybija się postulat zgodnie przyjęty, by jak najszybciej przekształcić cały obszar wchodzących w rachubę państw w jeden rynek węglowy i stalowy. Ma to się dokonać w momencie wprowadzenia w życie traktatu. Ponieważ od razu odbije się to na mniej ekonomicznych przedsiębiorstwach, wprowadzony ma być specjalny fundusz wyrównawczy, na który składać się będą wpływy z opodatkowania przemysłów węglowego i stalowego, a z którego czynione będą inwestycje na przestawienie produkcji bądź modernizację wyposażenia technicznego mniej opłacalnych przedsiębiorstw. Przyjęcie zasady jednego rynku oznaczać będzie również natychmiastowe zniesienie taryf celnych w zakresie samego węgla i stali, ale także produktów pochodnych, których zasięg ma być w traktacie bardzo szeroko zakreślony. Pociągnie to za sobą w stosunkach zewnętrznych konieczność niezwłocznych pertraktacji handlowych z tymi krajami, z którymi państwa nowej wspólnoty mają klauzulę największego uprzywilejowania. Taryfy krajów wspólnoty z trzecimi państwami nie muszą być jednakowe, mogą one jednak być zróżniczkowane tylko do pewnego stopnia tak, aby nie dopuścić do sprowadzania węgla czy stali za pośrednictwem innego członka.

Inna ważna zasada, którą zgodnie przyjęły delegacje sześciu krajów, polega na tym, że wszyscy członkowie wspólnoty korzystać będą z tych samych przywilejów w posiadłościach zamorskich, czyli francuskie i belgijskie terytoria zostaną na równych prawach otwarte dla pozostałych czterech państw.

Plan Schumana od momentu jego

ogłoszenia miał podwójny charakter: polityczny i ekonomiczny. Z powodu jego aspektu politycznego, a mianowicie zagadnienia suwerenności, Wielka Brytania odmówiła w nim uczestnictwa. Tymczasem — może w wyniku krytycznego stanowiska Anglii — struktura przewidzianych instytucji nowej wspólnoty jest do tego stopnia złożona, że tzw. zlanie suwerenności co najmniej straciło swe ostre kontury. Mimo to plan w niczym nie stracił na swym znaczeniu politycznym. Nie kto inny jak sam autor świeżo oświadczył, że wprowadzenie go w życie ułatwi współpracę wojskową między partnerami, a przecież wśród partnerów znajdują się Niemcy. Z punktu widzenia ekonomicznego poczyniono wielki postęp w ostatnich rokowaniach, wypełniając ogólne zasady bardziej skonkretyzowanymi propozycjami.

Odnosi się wrażenie, że zainteresowane kraje kontynentu, a szczególnie Francja, przywiązują jak największą wagę do praktycznego funkcjowania planu właśnie w dziedzinie ekonomicznej, odkładając spodziewane korzyści polityczne na późniejszy okres. Okazały się także nieuzasadnione obawy — w niektórych kołach były to raczej nadzieje — że Niemcy traktują inicjatywę francuską jedynie z punktu widzenia taktycznego i że mogą swój stosunek do niej zmienić. W istocie rzeczy zarówno ze strony francuskiej, jak i niemieckiej istnieje wola doprowadzenia rokowań do szybkiego końca. W pierwszej połowie października mają być zakończone prace zarówno w zakresie struktury i kompetencji organów nowej wspólnoty, jak i w dziedzinie ekonomicznych dyrektyw. Ostateczne sprawozdanie ma być następnie przekazane specjalnej komisji celem zredagowania na tej podstawie projektu traktatu.

PRZYSZŁA AZJA

Wśród studentów wyższych uczelni w Tokio przeprowadzono ankietę, której wyniki rzucają bardzo ciekawe światło nie tylko na stan umysłów młodzieży japońskiej, ale w ogóle na charakter młodszego pokolenia inteligencji azjatyckiej.

Ankieta dotyczyła stosunku do religii i polityki. Blisko połowa studentów przyznała się do ateizmu, jedna trzecia była niezdecydowana, jedna szósta przyznała się do przynależności do określonego wyznania. Z tej jednej szóstej połowa jest chrześcijanami, nieco mniej niż połowa buddystami i zaledwie jeden procent szintoistami, czyli członkami wyznania uważanego przed wojną za panujące w Japonii. Większość biorących udział w ankiecie oświadczyła, że nie interesuje się polityką, wśród aktywnej politycznie mniejszości najsilniejszą grupę stanowią komuniści. Jest ich nieco mniej niż chrześcijan.

Ankieta ta wykazuje niewątpliwy upadek tradycyjnych religii azjatyckich w młodszym pokoleniu inteligencji, który to upadek jest może najgłębszym wyrazem rewolucji, jaką przeżywa Daleki Wschód. Jako spadkobiercy do duchowego przewodzenia narodom Azji wschodniej pojawiają się w równej niemal sile chrześcijanie (przede wszystkim katolicy) i komuniści. Ale nie mają oni równych szans i na to nie wolno nam zamykać oczu. Większe szanse mają komuniści w pozyskaniu owych 50 procent zdecydowanych ateuszy niż chrześcijanie w pozyskaniu owej reszty niezdecydowanych.

Dla losów świata na dłuższą metę wynik tego współzawodnictwa może być ważniejszy niż wynik walk w Korei.

WIĘZIENIE BEZ KRAT

Używając ciągle nazwy „demokracji ludowej" dla sowieckiego porządku w Polsce, okupant stale i metodycznie wprowadza instytucje analogiczne do tych, które wypróbował u siebie.

Dla każdej dziedziny życia ustala się i narzuca jedną organizację, kierowaną przez odkomenderowanych do tego członków partii komunistycznej, PZPR. Tak więc dla wsi ustanowiona została Samopomoc Chłopska, dla młodzieży ZMP, dla kobiet Liga Kobiet itd. Każda totalistyczna i odpowiadająca całkowicie wzorom moskiewskim czy hitlerowskim organizacja nazywa się „podstawowa". Dla młodzieży więc od lat kilkunastu aż do wieku poborowego ze służbą wojskową włącznie taką organizacją podstawową jest ZMP. Na czym ta „podstawowość" polega?

Na to pytanie odpowiada zwykły w totalizmie porządek rzeczy. Najpierw obok podstawowej organizacji toleruje się kilka nic nie znaczących, kulturalno-samopomocowych. Potem stopniowo likwiduje się pozostałe aż pozostaje jedna z rozrośniętymi zadaniami. Jeśli nawet pozostają jeszcze jakieś kółka, jak np. te, które zajmują się zbieraniem składek na cele wyznaczone przez organizację „podstawową", to nie mają one w oczach władz żadnego znaczenia. Tak więc np. ZMP, jedyna na terenie młodzieży, szkoły a nawet wojska, reguluje opinię człowieka pod kątem jego użyteczności społecznej. Tylko z dobrą opinią ZMP można po ukończeniu szkoły średniej dostać się obecnie na uniwersytet. Powoli organizacja taka uzależnia od siebie człowieka do tego stopnia, że musi każde swe ważniejsze poczynanie życiowe wiązać z tym, czy ono będzie poparte przez jego zespół „podstawowy" czy nie.

I w tym właśnie tkwi istota totalizmu, pozbawienia wolności bez zamykania do więzień, czy obozów koncentracyjnych. Obok bezpośredniego uzależnienia od władzy, nad czym czuwa bezustannie aparat policyjny, istnieje cała drabina uzależnień pośrednich, niemniej krępujących i uciążliwych. W systemie tych ostatnich główną rolę odegrywa to, co w nomenklaturze komunistycznej nazywa się „organizacją podstawową".

OPIUM DLA LUDU

Niedawny, tragiczny wypadek zatrucia denaturatem kilkudziesięciu osób w Szczecinie przypomniał społeczeństwu zbrodniczą rolę, jaką w obecnym systemie bolszewickim w Polsce odegrywa alkohol. Należy przypomnieć, że jest to zjawisko wypróbowane w Rosji Sowieckiej niemal od początku istnienia tego ustroju. Tania wódka, zawsze w obfitej ilości jest nieodłącznym współczynnikiem tego antyludzkiego systemu rządzenia. Wszystkiego tam braknie, wódki nie braknie nigdy. Zatrucie denaturatem w Szczecinie nie świadczy również o braku taniej i łatwo dostępnej prawdziwej wódki, świadczy po prostu o tym stadium alkoholizmu, w którym pije się wszystko co wpadnie pod rękę.

Od czasu do czasu reżim przeprowadza obłudną propagandową kampanię przeciw pijaństwu, gdy ono zbyt wyraźnie obniża produkcję. Nie ma natomiast ani śladu tendencji dbania naprawdę o zdrowie społeczne, nawet mimo istnienia odpowiedniego ministerstwa. Ministrem tego resortu jest człowiek, który jako lekarz z zawodu ma na sumieniu zwykłą zbrodnię. Ten sam Jerzy Sztachelski, reżimowy minister zdrowia publicznego i dygnitarz od chwili wejścia wojsk sowieckich do Polski, — w roku 1941, podczas okupacji sowieckiej w Wilnie oświadczył publicznie i na piśmie, że ewakuacja ludności z Wilna odbywa się w pełnych warunkach zdrowia i higieny. Cóż to była za ewakuacja? Ponure masowe deportacje kilkudziesięciu tysięcy ludzi z Wilna i Wileńszczyzny w typowych warunkach tego rodzaju sowieckiej operacji, a więc w takich, że ludzie marli dusząc się w wagonach już na stacji „załadowania". Oczywiste jest, że w ustroju okupacji bolszewickiej taki człowiek i tylko taki może zostać ministrem zdrowia.

Innym faktem, ilustrującym dbałość reżimu o zdrowie społeczeństwa jest wiadomość ze śląskich kopalń rudy uranowej. Wygłodzeni, nieludzko pomęczeni niewolnicy tych kopalń, żerani działaniem radioaktywnych właściwości uranu, są pod przymusem rozpijani. Za niewypicie wódki sowiecka straż bije.

To jedno wystarczy za całą deklamację propagandy w Polsce.

„HANDEL KRWIĄ POLSKĄ"

Wychodzący w Nowym Jorku dziennik „Nowy Świat" omawia stosunek Polonii amerykańskiej do różnych koncepcji politycznych polskich. W jednym z tych artykułów zajmuje się on bardzo istotnym problemem nieodpowiedzialnej konkurencji w stosunku do Amerykanów. Nie szczędzi słów krytyki z jednej strony Mikołajczykowi, a z drugiej miejscowym sanatorom:

„Wszelkie fetowanie niekoronowanych „spadkobierców kołodzieja Piasta", tj. samozwańczych „wybrańców" ludu wiejskiego, przez poczci-

wych plebanów spośród Polonii — nie może zasłonić masom Polonii bijącego w oczy sobkostwa tych polityków emigracyjnych, „ofiarujących“ wszystko w imieniu Polski. Polonia nie mogła nie zauważyć, jak łatwi są oni do nabycia.

„Z drugiej strony Polonia coraz więcej musi się dziwić ofertom przeciwnego obozu, który wyjawia publicznie zamiary świata Zachodu w akcji przeciw agresji bolszewizmu i ogłasza, że gubernator generalny Kanady Alexander, pasowany jest na wodza naczelnego zbrojnych hufców Narodów Zjednoczonych, hufców ochotniczych, które rzekomo mają maszerować na wroga praw człowieka przez całą Europę. Te przedwczesne, a tak bardzo niepożądane rewelacje ludzi fabrykujących na poczekaniu legendy i bajki, szkodzą najwięcej sprawie polskiej, jeśli wplątuje się w nie nazwisko generała Andersa jako przyszłego dowódcy polskiej części owych fantastycznych hufców lorda Alexandra...

„Poważni politycy tak nie robią. Przede wszystkim poważni politycy polscy nie powinni stawać z „Komikiem“ do wyścigów i przelicytowywać się z nim w handlu krwią polską. Krew ta staje się wskutek takich „ofert“ bardzo tania. Trzeba więc o tym mówić i pisać wyraźnie. Trzeba piętnować ten straszliwy handel. Trzeba mówić tym z polskiej emigracji, którzy tak czynią, że Polonia odszyfrowała już ich robotę, że ją zrozumiała i że zakłada energiczny przeciw niej protest“.

GŁOSY POLONII AMERYKAŃSKIEJ

Dziennik nowojorski „Nowy Świat“ z 25 września w artykule wstępnym, nawiązując do przyjazdu gen. Andersa do Stanów Zjednoczonych, pisze m. in.:

„Polonia widzi w nim przede wszystkim tego, który wywiódł nie tylko wojskowych, ale i cywilów z niewoli sowieckiej przez Morze Kaspijskie i Persję, jak i dowódcę 2 Korpusu, którego bohaterskie walki uwieńczyło krwawe zwycięstwo na szczycie Monte Cassino. Generał Anders jest wszelako generalnym inspektorem polskich sił zbrojnych, który to tytuł i urząd w wypadku wojny automatycznie zmienia się w tytuł i urząd naczelnego wodza. Poza tym generał Anders rozporządza wielkimi wpływami w kołach londyńskiego rządu polskiego. Dlatego też, witając go, Polonia amerykańska, owiana gorącym pragnieniem pojednania całego obozu niepodległościowego polskiej emigracji politycznej, wyraża nadzieję, że pobyt generała Andersa w naszym kraju przyczyni się do tego pojednania, a co ważniejsze, że je przyspieszy“.

W felietonie swoim w tym samym numerze naczelny redaktor „Nowego Świata“ P. P. Yolles dodaje m. in.: „Jako żołnierz i inspektor sił zbrojnych... ma gen. Anders czynnik bardzo polski i bardzo istotny do mowy o Polsce. Oby nie zamienił tego złota na miedziaki zaściankowych rozgrywek, nie dał się wciągnąć w zasadzki lotnych piasków politycznych, partyjnych i ‚obozowych‘“.

„Dziennik dla Wszystkich“ wychodzący w Buffalo w numerze z 6 września zamieszcza na pierwszej stronie deklarację opublikowaną przez Stronnictwo Narodowe w związku z koniecznością oparcia legalizmu o system stronnictw.

W dwóch kolejnych artykułach wstępnych o potrzebie jedności działania polskiego „Dziennik dla Wszystkich“ formułuje swój pogląd w sposób następujący:

„Zjawisko rozdwojenia akcji politycznej na rzecz Polski występuje bardzo jaskrawo na terenie Stanów Zjednoczonych. Działają tu dwie grupy: Rada Stronnictw Politycznych oraz Komitet Narodowy Stronnictw Demokratycznych. Tak Rada jak i Komitet występują na własną rękę i działają we własnym zakresie. Nie trzeba chyba udowadniać, że ta dwoistość akcji jest osłabieniem jej skuteczności“.

PREZES ARCISZEWSKI W AMERYCE

Prasa polonijna w Ameryce w wielu wzmiankach nawiązuje do pobytu w Stanach Zjednoczonych przewodniczącego Rady Politycznej prezesa Tomasza Arciszewskiego.

Był on gościem honorowym na walnym zjeździe Robotniczej Kasy Pomocy w Nowym Jorku, gdzie obok innych przedstawicieli Polonii powitał go w serdecznych słowach imieniem Kongresu Polonii prezes mec. K. Rozmarek. Dnia 1 września prez. Arciszewski wygłosił przemówienie do Polonii w rozgłośni WHOM w Nowym Jorku. W dniu 11 ub.m. uczestniczył w akademii urządzonej przez organizacje polonijne w Hartford, Conn. — w akademii wzięło udział ponad 1.000 osób. W dniu 1 października prez. Arciszewski uczestniczył jako honorowy gość w uroczystościach 70-letniego jubileuszu Związku Narodowego Polskiego w Chicago.

7 października przemawiał do kraju przez radio Wolnej Europy.

NA POZIOMIE GRAJDOŁKA

Ostatnie przesilenie rządowe ujawniło przykry fakt staczania się walk politycznych wśród Polaków na emigracji na coraz niższy poziom. Już użycie poczciwego historyka w roli klasycznej „foki“ i prowadzone przezeń imieniem Prezydenta krakowskim targiem pertraktacje o datę ustąpienia p. Augusta Zaleskiego były tego przejawem. Po czym wszystko symbolicznie przeniosło się do kawiarni.

Chcąc zaciemnić obraz i zwalić odpowiedzialność za niedojście do zgody na stronnictwa polityczne, Biuro Fałszywych Pogłosek mieszczące się w przedpokoju na Eaton Place puściło w ruch po kawiarniach wersje przeróżne o przebiegu rokowań. Ich wspólnym motywem było wybranie sobie na kozła ofiarnego (a trzeba powiedzieć, że dawno upatrzonego do tej roli) p. Adama Ciołkosza. To miał on przyjść z pieskiem do prof. Paszkiewicza, to prowadzić rozmowę na stojąco w „ABC“, to nieuprzejmie spoglądać cały czas na zegarek. W prasie sanacyjnej pokazały się sprawozdania „dosłowne“ z rozmów telefonicznych prowadzonych rzekomo przez prof. Paszkiewicza z różnymi osobami, anegdotyczna charakteryzacja rozmaitych polityków. Wszystko to sprowadza cały spór między Polakami do spraw personalnych pojętych jak najpłyciej, do obrazu walki o zarząd klubu urzędniczego w małym miasteczku.

Sytuacji nie poprawia fakt, że jedyne polskie pismo codzienne poczuło w sobie misję nadrzędną i z wysoka, protekcjonalnie, a z umysłowością małomiasteczkowego plotkarza, ferować zaczęło wyroki na ludzi i sprawy, umieszczając te wyroki anonimowo, przeważnie w dziale plotek prasowych.

A wszystko to razem jest nieprawda i bzdura. Spór między Polakami nie zależy bynajmniej od humoru p. Ciołkosza ani od takiego czy innego składu personalnego delegacji politycznych. Spór jest jasny i prosty, i nie uda się go zaciemnić ani ściąganiem sprawy na poziom personalnych utarczek ani przesłanianiem go anegdotkami od Dakowskiego. Chodzi po prostu o to, czy prezydent Zaleski i jego partia podporządkują się woli większości ruchów politycznych polskich i wykonywać będą władzę nie tak, jak to sobie obmyśliła przed kilkunastu laty grupa pułkowników, ale tak, jak wykonuje się ją w całym wolnym świecie, to znaczy zgodnie z wolą większości. Wszystko inne to są kruczki. Kruczki niegodne powagi sprawy, czy polegają one na tworzeniu coraz to nowych rzekomych „partii“, czy na głoszeniu tezy, że wśród Polaków większość mają przeciwnicy wszelkich ruchów politycznych, czy na odwracaniu uwagi ku sprawom personalnym, czy na zawiłych interpretacjach konstytucji, czy na dopatrywaniu się różnic wewnątrz stronnictw, czy na próbach podstawiania organizacji wojskowych lub społecznych w miejsce politycznych.

PRYMITYW I ZŁA WOLA

Nieustanna walka mafii z polskimi ruchami politycznymi ma swą wymowną historię w ciągu ostatniego dziesięciolecia. Mogła zaś odżyć na nowo tylko wskutek klęski, jaką Polska poniosła w drugiej wojnie światowej. W atmosferze rozpaczy społeczeństwa, otworzyła się na nowo przedwojenna rana — ta sama, która osłabiała organizm niepodległej Polski.

Rana spisku, kliki, utożsamiania całości sprawy polskiej z pozostawaniem przy władzy, sprowadzanie polityki na teren graniczący z kryminalistyką.

Gdyby nie klęska Polski — nie do pomyślenia byłoby, żeby ludzie odpowiedzialni za przedwojenne ciężkie przestępstwa przeciwko życiu, zdrowiu i wolności obywateli nie zostali posadzeni na ławach oskarżonych i nie ukarani. Twórcy systemu łamania prawa, rozkazodawcy napadów na profesorów, polityków, pisarzy — uszli w tej zawierusze, przycupnęli, odczekali dziesięciolecie. Nie dali jednak o sobie zapomnieć.

Zwołali się znów pod tym samym hasłem „państwowości", monopolu na władzę, czy na jej symbol, i rozpoczęli tę samą w skutkach robotę dezorganizacji życia społecznego a specjalnie tej części życia, która ma bezpośredni wpływ na polityczny wyraz narodu.

Bez żadnego ryzyka można dziś stwierdzić, że zarówno zeszłoroczne jak i tegoroczne przesilenia rządowe były pomyślane jako akcja wymierzona przeciwko polskim ruchom politycznym, jako nawrót do systemu myślenia i działania według klasycznych wzorów BBWR czy Ozonu. Nastąpiła tylko nieznaczna zmiana na stanowiskach dowódczych, odeszli ludzie zbyt prowokacyjni, przyszli ci, którzy bezpośrednio może nie podpisywali nakazów osadzenia w „miejscu odosobnienia", ale dzielili się wszystkimi politycznymi „zdobyczami" takich metod.

Linia ataku na stronnictwa „polityczne, którą red. M. Rojek określił ostatnio w „Dzienniku Polskim" jako prymityw polityczny, jest ideą przewodnią i jedyną zjawiska zwanego sanacją. Tym hasłem mafia się zwołuje i to rzuca społeczeństwu jako treść polityczną. To prawda, że i samo pochodzenie takiego programu i jego szerzenie jest objawem groźnego prymitywu myślenia. Jest jednak również objawem daleko posuniętej złej woli, złych zamiarów wobec własnego społeczeństwa. Ci, którzy niszczą polskie programy polityczne i nie dają na ich miejsce niczego poza hasłem „skupiania się" dokoła jakiejś kolejnej osoby z cywilnym czy wojskowym tytułem — popełniają ciężką zbrodnię wobec przyszłości społeczeństwa. Z jednej strony jest ono pod obuchem fizycznej przemocy i niemilknącej propagandy ogłupiania przez okupanta, z drugiej strony kołtuństwo rodzime podważa i niszczy treść ideową, na którą złożyła się praca kilku pokoleń. Zawsze znajdują jakichś półanalfabetów do pisania bzdur i zawsze jakiegoś redaktora, który bzdury takie drukuje dlatego, że mu za to płacą.

Plaga frazesu, tak straszna w Polsce pomajowej, owe hasła na wszystkie dni wymarszu, imienin, zlotów i sypania kopców — święci swój renesans w takich kwiatkach, jakie niedawno w listach do redakcji wydrukował „Dziennik Polski". „Żołnierze sprawy" i „uczciwi Polacy" z jednej strony a z drugiej „partyjnicy".

Taki troglodyta ani się zająknie, mimo że musi wiedzieć, jak setki, tysiące działaczy polskich stronnictw politycznych ginęły w obronie Polski, godności ludzkiej i swoich przekonań podczas ostatniego dziesięciolecia. To nie Ozon, ani BBWR był najbardziej poszukiwany przez Gestapo czy NKWD. To byli ludzie z owych tak prostacko postponowanych partii. Ginęli prezesi stronnictw i ich szarzy, bezimienni działacze. Pozostali przy życiu tworzyli dalszy łańcuch oporu narodowego i to zarówno w organizacji politycznej jak i wojskowej. Żadne fałsze ani nabrązawiania rzekomych historyków, przedstawiających dzieje walki jako dalszy ciąg „brygady" tego nie zmienią. Polskę na tę wojnę ostatnią poprowadziła źle i po partacku mafia „antypartyjna". Walczył naród pod przewodnictwem swych wielkich ruchów ideowych.

Dobra wola ludzi czynnych społecznie czy politycznie nie może ograniczać się do rejestracji wydarzeń. Powinna być równie czynna, jak czynne jest działanie przeciwnika. Odwracanie sensu do góry nogami nie mieści się ani w ramach pojęcia bezstronności, ani tym bardziej dobrej woli. Twierdzenie zaś, że działalność polskich ruchów politycznych na emigracji szkodzi sprawie polskiej i wzmacnia naszych wrogów jest i kłamstwem i obelgą i głupotą. Wobec tego nie można być ani obojętnym, ani „bezstronnym".

...A P. SOPICKIEMU RADOŚĆ

Od pozostałych kolegów rządowych odbija nieco redaktor Sopicki. Największą jego pasją życiową jest wynagrodzenie Niemcom „krzywdy", jaką im zrobiono po wojnie. Już po zostaniu ministrem skarbu (z wszystkich tek...!) pisał on coś w druku o konieczności zajęcia się problemem stosunków z Niemcami. Rekord dobroduszności pobił jednak w wydawanym przez siebie dla katolików angielskich maszynowym serwisie. Donosząc tam ostatnio o zjeździe kapelanów polskich w Niemczech, wyraził, ni z tego ni z owego, radość, że Amerykanie uzbroili niemieckie kompanie wartownicze, a więc Niemcy i Polacy w zonie amerykańskiej stali się... towarzyszami broni. Dowodem poprawienia się stosunków polsko-niemieckich jest wedle naszego Koszałka-Opałka to, że coraz więcej polskich wartowników żeni się z niemieckimi dziewczętami.

SKORO MOWA O PIENIĄDZACH...

Rekord wywoływania zamętu politycznego osiągnął w ostatnich czasach p. Mackiewicz. W redagowanym przez siebie piśmie poprzekręcał wszystkie fakty ostatniego przesilenia, dodał do tego nieco zmyśleń i inwektyw, powkładał ludziom w usta słowa, których nie mówili, wreszcie zaś pod adresem socjalistów „z obowiązku dziennikarskiego" puścił następującą historyjkę: „Według jednej z takich plotek socjaliści otrzymali nagle obietnicę jakichś międzynarodowych pieniędzy, które mają im być wypłacone w grudniu obecnego roku. Według innej plotki pewne wpływy obce, które chcą grać kartę polską, zażądały przyspieszenia usunięcia Augusta Zaleskiego, jako zbyt samodzielnego kierownika sprawy polskiej".

Skoro już mowa o pieniądzach, to za czyje pieniądze p. Mackiewicz wydaje swoje jątrzące pisemko?

METODY SANACYJNYCH ZUPAKÓW

Oto fragmenty listu z Niemiec, rzucającego ciekawe światło na stosunki panujące w Kompaniach Wartowniczych w zonie amerykańskiej Niemiec.

„Gdy komisja tak zwanego Skarbu Narodowego rozpoczęła swe urzędowanie w Niemczech, panowie sanatorzy z kompanii wartowniczych wyrobili dla wszystkich wartowników legitymacje Sk. N. Ja pracując w biurze nie byłem obecny na pogadankach, na których sprawa ta była przez nich omawiana, nie mogłem więc zgłosić sprzeciwu. Po otrzymaniu legitymacji natychmiast udałem się do naszego dowódcy i zwróciłem mu ją. Kapitan próbował różnymi, bardzo zresztą nieudolnymi, argumentami namówić mnie do zatrzymania jej, a gdy to nie odniosło żadnego rezultatu powiedział, że może major (oficer łącznikowy) wyjaśni mi to lepiej. Tak przeszło kilka tygodni i dopiero dwa dni temu zostałem wezwany do majora. Major wraz ze swoim pomocnikiem porucznikiem próbował namówić mnie do przyjęcia legitymacji a następnie wybadać — znając moje przekonania narodowe — czy należę do partii. Próbowali również za pomocą dyskusji i podstępnych pytań wydobyć nazwiska działaczy czy przeciwników Sk. N. z terenu Niemiec czy naszej kompanii, oczywiście bez żadnego rezultatu. Rozmowa trwała około 2 godz. Nie mogąc mnie przekonać ani złamać otwarcie, zagrozili mi — oczywiście bez świadków — abym zgłosił rezygnację ze służby w Oddziałach Wartowniczych, bo w przeciwnym razie doprowadzą do tego, że otrzymam karne zwolnienie. Dzisiaj zostałem przeniesiony z biura na pluton. Ja się nie ugnę i zachowam taką postawę, jak do tej pory, ale w ich mocy leży to, że mając władzę, organizację i masę szpiclów mogą w najbliższym czasie wyrzucić mnie z kompanii i popsuć papiery."

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

WARSZTAT PRACY HISTORYCZNEJ W POŁOWIE XX WIEKU

(Z Kongresu Historyków w Paryżu)

W KOŃCU sierpnia obradował w Paryżu całotygodniowy IX Kongres Historyków. Był to pierwszy ich zjazd powojenny. Ostatni kongres odbył się w Zurychu w r. 1938, przedostatni w Warszawie w r. 1933. Normalnie kongresy historyczne odbywają się co lat pięć.

Kongresy takie są wcale ważne. Znaczenie ich nie polega na tym, by ich decyzje były epokowe: nie mogą one przecież ustalać biegu wydarzeń historycznych, ani nawet oznaczać, więc krępować, biegu badań historycznych. Waga ich polega na tym, że historycy różnych specjalności, metod i narodowości co jakiś czas mogą się spotykać i konfrontować swoje badania, metody i znaleziska. Wynika z takich konfrontacji wcale ciekawy obraz stanu wiedzy historycznej w danym okresie. Problematyka się ustawia, przesuwa się soczewka badawcza, odkrycia faktyczne, archiwalne czy dokumentalne dochodzą szybciej do świadomości naukowego odbiorcy.

Wreszcie — last not least — z poza badań i szperań, z poza archiwaliów i nomenklatur, wytrawny słuchacz szybko dostrzeże l e b o u t d e l'o r e i l l e, jak mówią Francuzi, wystające końce uszu nastawień i ideologii politycznych (te uszy nie mają oczywiście nic wspólnego z oślimi uszyma).

Tak właśnie się stało i na ostatnim kongresie paryskim. Polityka zwaliła się nań całym ciężarem: zabrakło połowy Europy, tzn. tak dobrze jak połowy świata naukowego. Zza żelaznej kurtyny nie puszczono nikogo — nie było też żadnego reprezentanta ani Rosji Sowieckiej (byli jeszcze w Warszawie w r. 1933 ale już nie w Zurychu w r. 1938), ani Niemiec (r a r i n a n t e s znaleźli się wśród słuchaczy, ale nie wśród referentów).

Z Polski więc również nie wypuszczono nikogo — mimo że dwu uczonych warszawskich, pp. Małowist i Kula, przysłało nawet zawczasu swoje raporty z zakresu socjologii i historii instytucji: raporty te nie były wobec ich nieobecności dyskutowane i spadły z porządku obrad kongresowych.

Dzięki Bogu — nie oznaczało to, by nauka polska na kongresie swej roli nie odegrała. Staraniem naszego Towarzystwa Historycznego w Londynie, delegacja polska na kongres została dopuszczona, w składzie historyków polskich z Ameryki (prof. Halecki), z Londynu (gen. Kukiel, prof. Koczy, prof. Sulimirski i niżej podpisany) oraz Paryża (prof. Z. L. Zaleski, dr Chowaniec). Zabrakło niestety zgłoszonych prof. Paszkiewicza i mjr Laskowskiego, którzy przyjechać nie zdołali.

Udział Polaków był sprawny. Wśród trzydziestu paru narodów zajęli ilością referatów miejsce piąte, pierwsze po Francji, Wielkiej Brytanii, Włoszech i Belgii. W dyskusji byli wszędzie gdzie trzeba, i, dzięki głównie niezmordowanej czujności przewodniczącego delegacji, prof. Haleckiego, niesposób było nie zauważyć „les Polonais", tej „nieoficjalnej" polskiej delegacji. Praw oficjalnych oczywiście ci delegaci nabyć nie mogli, gdyż te, zgodnie z statutem Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych, zawarowane są dla przedstawicielstw krajowych, w wypadku Polski dla tak zasłużonego Polskiego Towarzystwa Historycznego. N a u k o w o jednak, Polacy byli wszędzie, wśród referentów, na dyskusjach, wśród kontaktów i rozmów kuluarowych, będących może najżywszą częścią wszelkich takich zjazdów.*)

Obrady kongresu rozpadały się na dwie części. Ranki były poświęcone dyskutowaniu z góry zamówionych i w druku rozesłanych raportów syntetycznych i nieraz zbiorowych na różne tematy i o różnych epokach (tu właśnie odpadły raporty pp. Małowista i Kuli). Popołudnia zaś były wypełnione, w licznych komisjach i podkomisjach wygłaszaniem referatów i komunikatów z najróżniejszych dziedzin wiedzy historycznej; referaty te (wygłoszono ich z górą dwie setki) były potem doraźnie dyskutowane z różnym szczęściem: zdarzało się, iż dyskusja była na wysokim poziomie, zdarzało się też inaczej.

Referaty polskie zostały przed kongresem wydrukowane w specjalnym, francusko-angielskim numerze „Tek Historycznych". Fakt zdobycia się na taką inicjatywę wydawniczą jest godzien wielkiej pochwały: był unikatem na zjeździe!**)

* * *

Po tych uwagach wstępnych, dotyczących raczej samej organizacji prac kongresowych, — dobrze będzie przystąpić teraz do rzeczy najważniejszej, dla czytelnika pewno najciekawszej, do przedstawienia, z grubsza i jakby z profilu, samej problematyki kongresu.

Z ogromnego gąszczu tematów wybieram tu, exempli modo, trzy zagadnienia: jedno — rzec by można — geograficzno-kulturalne, drugie dotyczące pewnego stylu czy prądu artystyczno-umysłowego, i trzecie wreszcie, najogólniejsze, o pewnej nawet barwie etyczno-metafizycznej, a traktujące o stosunku człowieka do historii.

1.

Zagadnienie pierwsze interesuje się związkami zachodzącymi między islamem a Europą. Kwestia ta była z góry przewidziana i zapowiedziana, jako jeden z tematów IX Kongresu Historyków. Widocznie nabrzmiała już i narosła do nowego zbadania.

Rozstrzygające znaczenie n e g a t y w n e islamu dla kultury europejskiej widział już przed laty wielki historyk belgijski, Henri Pirenne: wcale nie koniec cesarstwa rzymskiego stawiał on jako datę końca świata starożytnego, ale dopiero powstanie islamu w VII wieku naszej ery, a to ze względu na przerwanie komunikacji śródziemnomorskich między Wschodem a Zachodem. Do tego dodać należy ciekawe badania X. Dvornika, znakomitego czeskiego bizantynisty, wskazujące na to, że w tym właśnie okresie Kościół był u progu pełnego pozyskania Persji, pokrytej już gminami chrześcijańskimi, — a stąd był już tylko krok do Indii! To wszystko przerwała Hegira. I tu zerwanie komunikacji między chrześcijaństwem zachodnim a wschodnim, okazało się na przyszłość dla całości Kościoła — złowrogie.*)

Nowa fala badań przyniosła jednak

---

*) Dodaję w notatce, że w salach ślicznej Biblioteki Polskiej na Ile Saint-Louis (zazdroszczą nam tego pałacyku wszystkie narodowości) odbyło się nie huczne, ale pełne godności i ciepła, przyjęcie dla kilkunastu historyków obcych. Udział wzięli w tej uroczystości: Francuzi, Belgowie, Rumuni, Amerykanie, a też prof. Heinrich Felix Schmid z uniwersytetu wiedeńskiego. Okazało się raz jeszcze, czym jest dla reprezentacji i poważnej propagandy, posiadanie takiego pied-à-terre naukoweggo, jakim jest Biblioteka Polska na 6, Quai d'Orléans.

**) Podajemy dla orientacji spis referatów polskich według „Tek Historycznych": H. Paszkiewicz, „Ruś (Russia) from the IX to the XIV century. Some considerations on modes and methods of research". Koczy, „La Genèse des Croisades". W. Folkierski, „Dante et l'Islam". O. Halecki, „The leading Ideas of the Slavic World in the Renaissance Period". O. Laskowski, „Infantry Tactics and Firing Power in XVI century". C. Chowaniec, „La Mer Noire dans l'Histoire de la Pologne Moderne (Essai de définition du problème)". M. Kukiel, „Ligue des Nations, Union Européenne et la Troisième Coalition". Z. L. Zaleski, „Les Opinions de Balzac sur la Pologne et la Russie". Dodać należy, że referaty prof. Zaleskiego i mój zamieszczone zostały w „Tekach" jedynie jako résumé.

*) cf. F. Dvornik, National Churches and the Church Universal (Eastern Churches Quarterly, 1944).

coś innego: stwierdzenie pozytywnego wkładu islamu w kulturę Zachodu! Wiedziano już wiele o roli krucjat w XII i XIII wieku: na paryskim kongresie właśnie prof. Koczy wygłosił swój bardzo ciekawy referat o genezie krucjat. Okazuje się jednak coraz wyraźniej, że główną rolę pośredniczącą między islamem a Europą odegrała Hiszpania, wcześnie ale niezupełnie, nie w całości podbita już w VIII wieku. Tzw. reconquista, odbój Półwyspu Iberyjskiego na muzułmanach trwała jak wiadomo do XV wieku, tzn. pełnych siedem wieków. Tych z górą półtysiąca lat jest okresem nie tylko zmagania się chrześcijańskich władców północy półwyspu z islamem, ale też i wzajemnego a niezmiernie plennego przenikania się kulturalnego świata mahometańskiego z światem chrześcijańskim. To wiekowe współżycie obu cywilizacji na ziemi zwłaszcza hiszpańskiej (w mniejszym stopniu portugalskiej), dało rozliczne rezultaty, a między innymi przyczyniło się do owej bardzo specyficznej, bardzo odrębnej barwy kulturalnej jaką przedstawiają i literatura i sztuka hiszpańska. Hiszpania jest dziś niezmiernie dumna ze swej kultury arabskiej: należy ona do ojcowizny narodowej.

To kulturalne przemieszanie stało się możliwe dzięki względnie liberalnemu traktowaniu podbitego kraju przez arabskich władców. Tzw. mozarabowie, tzn. chrześcijanie żyjący pod berłem saraceńskim mieli możność kulturalnego rozwoju i krzyżowania swych wątków z arabskimi: wpływy północne, chrześcijańskie są i w Granadzie i nawet w maurytańskiej Alhambrze.*) Gdy znów — po wiekach — nadejdzie fala przeciwna, zjawisko się odwróci ale i powtórzy: z postępem reconquisty, na terenach zdobytych na Arabach przez chrześcijan pozostaną całe warstwy ludności arabskiej, które znów wytworzą swoistą kulturę mieszaną tzw. mudejarów. Dzięki takim mieszankom powstanie stop widoczny dziś wszędzie, tak w architekturze Alhambry czy toledańskiego Alkazaru, jak i w katedrach Sewilli i Burgos, czy też wreszcie i w motywach i pieśniach hiszpańskiego romancera.

Z kolei znów Hiszpania promieniowała na północ, na południową Francję więc, i z kolei dalszej na Włochy. Podbój Sycylii arabskiej przez Normanów stworzy znów niezmiernie ciekawe warunki do kulturalnego przekładańca.

I tu właśnie, w tym miejscu, wyjaśniam mój termin: geograficzno-kulturalne zagadnienie. Dzieje się przecież wszystko tak, jakby geografia była w ruchu, w marszu: geograficzne odległości przybliżają się. Wschód arabski ruszył na zachód i znalazł się in medias Europy...

Wymienię tu trzy główne rezultaty tego zjawiska:

---

*) Dotyczył tego zjawiska referat prof. Lambert z Paryża: „Les relations artistiques entre la Chriétienté et l'Islam dans la péninsule ibérique au moyen âge".

1. Piękna literatura staroprowansalska wieku XII przedstawia wciąż jeszcze nierozwiązaną zagadkę szybkiego rozkwitu liryki trubadurów o fenomenalnie giętkiej formie wiersza i strofy, oraz tajemnicę finezyjnej kultury ideału dwornego (cortesia, courtoisie), bardzo przeciwnej północno-francuskiej poezji wojowniczo-epickiej.*) Sądzić wolno, że działały tu z Hiszpanii infiltracje saraceńskie. Saracenom były znane i bractwa rycerskie i cours d'amour, dworskie igrzyska i turnieje miłosnej poezji. Z kolei ta fala przejdzie w wieku XIII do Włoch i stworzy znany Dantemu dolce stil nuovo. Badania genetyczne są tu w toku, ku wielkiej radości Hiszpanów dumnych ze „swego" islamu, ale ku wielkiemu zmartwieniu Włochów, bardzo zazdrosnych o te wpływy — mimo niegdyś arabskiej Sycylii!

2. Wielki europejski wiek XIII, wiek św. Tomasza z Akwinu, zawdzięcza wiele recepcji filozofów starożytnych, głównie Arystotelesa, przez arabsko-hiszpańskich wielkich myślicieli (Averrhoes). Stali się oni wręcz pośrednikami między starożytnością grecką a nową Europą. Nie da się wprost wymierzyć roli dziejowej, jaką odegrały hiszpańsko-arabskie szkoły filozoficzne oraz collegia tłumaczy na łacinę i hiszpański. Św. Tomasz nie będzie się wahał cytować te źródła i z respektem się na nie powoływać, choć oczywiście będzie zwalczał ich błędne naświetlania myśli Stagiryty.

O tę właśnie drogę penetracji islamu poprzez Hiszpanię w wieku XIII, głównie za panowania Alfonsa X Mądrego, na którego rozkaz mnóstwo tekstów arabskich przełożono na łacinę, — zahaczał i mój własny referat poświęcony Dantemu i jego związkom z islamem. Nie mogę się tu zatrzymywać nad tą szczególnie ciekawą kwestią, która by łatwo rozsadziła ramy tego sprawozdania.

3. Po ukończonej wreszcie walce z najeźdźcą muzułmańskim, w wieku XV, nie urwały się tę wpływy orientalne na Hiszpanię. Wręcz przeciwnie: siedmiu wieków historii odwrócić się nie da. Wielka, klasyczna literatura Hiszpanii XVII wieku, z jej wspaniałym teatrem (Lope de Vega, Calderon), liryką (Gongora), prozą (Cervantes, Quevedo), zawdzięcza bardzo wiele ze swej odrębności i genialności, — właśnie przepracowaniu dawnych tych stopów kulturalnych. Trzeba będzie dopiero zbadać ile kultyzm Gongory zawdzięcza owym głębokim, zamierzchłym ale wciąż żywym, tradycjom dworności wschodniej i owej gwałtownie, fantastycznie metaforycznej wyobraźni Wschodu...

Ale to łączy się już z drugim naszym zagadnieniem pewnego stylu czy prądu kulturalnego.

---

*) Jednym z głównych znawców i badaczy literatury staroprowansalskiej jest obecny w Londynie prof. Stanisław Stroński.

2.

Jest mu na imię: barok. Jest on dziś tematem wybijającym się na czoło badań historyczno-literackich i ogólnokulturalnych.

Zaczęło się to już dawno, przed z górą pół wiekiem w dziedzinie historii sztuki.*) Szwajcar, Heinrich Wölfflin rzucił był wtedy podwaliny pod ogromną karierę baroku trwającą po dziś dzień.**) Przeciwstawiał on doskonałej proporcji linearnej renesansu — malowniczość i ruch baroku, jego rozmiłowanie się w treściach niewyrażalnych i niepojętych. U podstawy baroku stawiał pogłębienie psychologiczne nową falą ducha religijnego. Źródłem indywidualnym wydawał mu się być późny Michał Anioł, autor Sądu Ostatecznego. Tłem religijnym całego procesu była kontrreformacja myśl zakonu św. Ignacego Loyoli. Jak-

---

*) Zaraz po ukończeniu obrad Kongresu Historycznego, rozpoczął się zjazd inny Filologii francuskiej (les Etudes Françaises), poświęcony właśnie barokowi; ale barok wypływał też i na różnych sekcjach pierwszego kongresu.

**) „Renaissance und Barock", 1888.

WITOLD OLSZEWSKI

Alpejska rozpacz

**Rude szczyty odarte z płatów mgły
szczerzą kły głodne ku chmurom.
A chmury górą
nadzieję niosą.**

**Przepaść chlusnęła w dół
gniewem zdrętwiałych kamieni.
Krzyk zieje z dna szczelin.
Ból oczom.
Boże jakżeś jest głęboko!
Eleison.**

Zielone, zimne szczęście

**Kostropaty pień grabu
schylił się burym cieniem
ku nieruchomej toni.
Kamienie
podobne żabom,
obślizgłe śluzem zielonym,
patrzą jak oczy dziwożony.**

**Pachnie nadbrzeżnym mułem,
wilgocią i ziołami.
Opary się rozsnuły
nad szuwarami.**

**Strzępiaste palce paproci
mącą strumyki chłodu.
Liść spadł, o źdźbło potrącił,
uraził gładką wodę.**

**Szuwarów szept szeleści.
Spójrz:
znowu komar utonął,**

**Zielone, zimne szczęście
ludzi, którzy płoną.**

by dusza ludzka traciła swą równowagę renesansową, poszukiwała zawrotu głowy w nurzaniu się w nieskończoności. Symbolem staje się dla wizji artystycznej — na wpół przymknięte, zamglone spojrzenie: droga prowadząca do św. Teresy Berniniego.

Już sam Wölfflin nie ograniczał swych rozważań do sztuk plastycznych, skoro je rozciągał i na Tassa. W okresie między obu wojnami, historycy literatury, zwłaszcza niemieccy i hiszpańscy, rozszerzyli rozumienie baroku w całej pełni na zagadnienia historyczno-literackie. Szło o to, by okres między Renesansem a Oświeceniem, a więc grosso modo cały wiek XVII, chwycić w wspólną sieć jednego stylu. Ułatwiały tę sprawę pewne wspólne całej Europie przerosty czy schorzenia stylu literackiego (francuska préciosité, włoski marinizm, angielski euphuizm, hiszpański kultyzm czy gongoryzm). Natomiast walną trudność stanowił tu francuski klasycyzm Corneille'a, Moliera i Racine'a. Obecnie jesteśmy właśnie świadkami kurczowych wprost prób rozciągnięcia estetyki baroku nawet na Pascala i Racine'a. Właśnie dlatego, że Pascal jest tak religijnie napięty, i że Racine jest tak psychologicznie skomplikowany — pasują oni jakoby do barokowego stylu! Jest to punkt widzenia Niemca Leo Spitzera*) i również Niemca Helmutha Hatzfelda**). Obaj ci Niemcy, emigranci wojenni, pracują obecnie w Ameryce, i szeroko pozyskują sobie Amerykanów dla swych teorii, ciekawych, śmiałych, i nieraz pozbawionych umiaru. Paryski kongres był tu bardzo symptomatyczny: Francuzi nie chcieli o niczym słyszeć, Anglicy im sekundowali ale Hiszpanie, Amerykanie i nieobecni Niemcy zaciekle oblegali twierdzę klasycyzmu...

Nas tu znów zainteresują pewne aspekty ogólniejsze. Oto niespodziewanie ośrodkiem głównym zainteresowania staje się tu znów — Hiszpania. Jest ona miejscem urodzin i rozkwitu baroku, nie Włochy, ale właśnie Hiszpania. Nawet jeżeli jednym z głównych źródeł stylu stał się Sąd Ostateczny Michała Anioła, zważyć należy, że arcydzieło to zostało zamówione przez Hiszpana, papieża Pawła III, będącego pod silnym wpływem Ignacego Loyoli i jego „Exercitia spiritualia".

Dlaczego znów Hiszpania? Bo była do tego predestynowana swoim niedokładnie przebytym renesansem (była na to zbyt średniowieczna), i s w o i m i t r a d y c j a m i s y m b i o z y z A r a b a m i! W ten sposób odnajdujemy tu nasz wątek pierwszy. Gwałtowną metaforyczność kultyzmu tłumaczy się w Hiszpanii orientalizmem, który wsiąkł w duszę i krew Hiszpana.*)

Hiszpania, wciąż politycznie traktowana z góry jest dziś głównym bodaj przedmiotem zainteresowania humanistycznego, — właśnie jako główny eksponent baroku. U takiego Velasqueza widzi się szczyt baroku — i pierwszy przejaw impresjonizmu. Czemu? Powie nam to znakomity pisarz hiszpański Josè Ortega y Gasset, powie w słowach uderzających, chciałoby się rzec, barokowych: „Velasquez z zuchwałością wspaniałą, wykonuje swój wielki czyn twórczej wzgardy: powstrzymał swą źrenicę, i tym powołał do życia nowe malarstwo. W tym jest cała przecież rewolucja, iście kopernikowska. Źrenica artysty ustawia się w centrum kosmosu a wokół niej wirują formy i kształty. Zaś ona rzuca swe spojrzenie tylko na to, co ją zajmuje. Innych rzeczy nie postrzega. Wizja bliska (renesansowa!) stała się v i s i o n l e j a n a, wizją z daleka"! („El punto de vista en las artes, 1924.) **)

W literaturze odpowiednikiem tej samej v i s i o n l e j a n a i deformacji twórczej jest styl i Cervantesa, i Queveda i Gongory...

Jednym słowem: Iberia triumphans...

3.

Nasz problemat trzeci, najważniejszy bo najogólniejszy, będzie też i najzwięźlej przedstawiony. Jest on bowiem tylko zapowiedzią przyszłości, i w Paryżu się tylko zarysował.

Rzecz w tym, że rozpatrując zjazd paryski jako przegląd prac i warsztatów pracy najtęższych głów historyczno-badawczych współczesnego świata — nie można było nie dojść do pewnych spostrzeżeń smutnych i pesymistycznych. Warsztat kongresowy przeładowany był przyczynkarstwem, którego metoda była zresztą doskonała. Ranne domniemanie syntetyczne raporty, poza wiadomościami bibliograficznymi zawsze nieocenionymi, robiły wrażenie pewnej czczości i chaosu. Dlaczego tak było? Jak się zdaje, jest to rezultat pewnych nastawień kierunkowych, które miały miejsce przed wojną, czasem nawet przed pierwszą wojną, a które dziś nie wystarczają, nie są na wysokości dziejowego zadania tej chwili zwrotnej — południowej już — XX wieku.

W pracach kongresowych, w ich metodzie, w ich może nawet zasadniczym poglądzie na świat, nie bardzo widać było c z ł o w i e k a, jako indywidualny organizm odpowiedzialny za historię. Raczej wciąż była mowa o „fakcie historycznym", albo o „danych statystycznych", albo nawet o domniemanych „prawach historycznych", wynikających przeważnie z przesłanek natury gospodarczej i może, ale mniej, społecznej. Triumfował jakby po dawnemu determinizm, w który już jednak nikt poważnie nie wierzy. Tak wciąż jakby nie „politique d'abord", ale „économique d'abord"... Cóż dziwnego, że tą luką przez zmysł odpowiedzialności ludzkiej niewypełnioną wdzierała się co trochę w dyskusji, planowana i kierowana jakąś ukrytą ręką, metoda dialektyczna materializmu historycznego... Mieliśmy nawet próbę wyjaśniania i Kanta i a n g o i s s e Pascala właśnie tą metodą narastających a jeszcze nierozwiązanych wtedy konfliktów gospodarczo-społecznych owoczesnej burżuazji...

Otóż znamienne jest, że przeciw temu stanowi rzeczy zjawiły się w dyskusjach kongresowych protesty. I to właśnie uważać należy za doniosłe i zwiastujące pewne zmiany na przyszłość. Protesty te unosiły się jakby w atmosferze zjazdowej i zjawiały się na zmiennej fali dyskusyjnej. Parę żywcem, na gorąco, chwyconych notatek podaję poniżej.

Ten dostojny temat stosunku człowieka do historii znalazł się nawet pomiędzy referatami sekcji historii cywilizacji. P. Alexander Szulgin, Ukrainiec, b. minister rządu Petlury, zgłosił referat pt. „Le problème du déterminisme dans la nature et dans l'histoire". Niestety, prelegent mówił

---

*) Leo Spitzer, „Die klassische Dämpfung in Racine's Stil", Archivum Romanicum, 1929. „El barroco español, 1944.

**) H. Hatzfeld, „A critical Survey of the recent Baroque Theories", Bogota, 1948.

*) Dlaczego Hiszpania nie doszła do francuskiego umiaru klasycznego? pyta Hatzfeld. Oto odpowiedź: „...it seems that its traditional oriental arabic taste is responsible for it". Bibliografia jest tu zresztą ogromna. cf. Sacheverell Sitwell, „Southern Baroque Art", 1924. Eugenio d'Ors, „Las ideas y las formas", 1928. E. Male, „L'art religieux après le Concile de Trente", 1932.

**) Hatzfeld kwituje to następująco: „The spanish Baroque contribution is that distance painting where the proud contempt inborn to the Spanish character deigns only to see the essentials on which it puts its eyepupil, whereas the unessential is caught negligently without contour". Narodowa wzgarda hiszpańska leży u źródła i baroku i impresjonizmu...

bardzo szlachetnie, ale niezupełnie na przewidziany temat.

Zastrzeżenia, o których mówimy, wychodziły natomiast na wierzch w czasie dyskusji nad raportem rannym — tym syntetycznym — profesora Renouvin („Histoire des Faits politiques: Epoque contemporaine"). Sam referent, bardzo ostrożnie ale stwierdził — i to stwierdzenie miało już rolę zastrzeżenia — że historia polityczna nie jest wprawdzie ważniejsza od ekonomicznej, społecznej etc., ale jednak warunkuje ich rozwój warunkując powstawanie faktów ekonomicznych i społecznych, przyśpieszając lub opóźniając reformy czy zmiany etc.

W dyskusji zareagował mocno, sygnalizując nowe symptomaty i drgnienia, p. Georges Bourgin, prezes francuskiego Towarzystwa Historycznego, niezmiernie żywy i pomysłowy, ale na pewno niepodejrzany o jakąkolwiek reakcyjność. Mając całą świadomość tego, że przeciwstawia się panującym jeszcze poglądom nazwał się skromnie „un petit moine de l'histoire" wobec „concile oecuménique de l'histoire". I — co znamienne — nie wahał się powołać, w tej Sorbonie 1950 roku, na jakieś słowa Nietzschego... Po czym wskazywał na zarysowującą się reakcję przeciw „engouement", zbytniemu entuzjazmowi dla nauk ekonomicznych i społecznych, przeciw metodzie zbyt wyłącznie statystycznej, przeciw bałwochwalstwu cyfr, „méthode des nombres". Analogicznie cytowano powiedzenie pewnego geografa, iż „la géographie physique est en train de tuer la géographie" właśnie na skutek lekceważenia miejsca i roli człowieka.

Zastrzeżenia te poparł z kolei prof. Roger Labrousse w słowach godnych powtórzenia: „Człowiek — czy grupa ludzka — nie ogranicza się do odbicia zjawiska gospodarczego; człowiek to zjawisko przepuszcza przez refrakcję i dewiację. Dopiero te odchylenia i zboczenia, wprowadzone umysłem i myślą człowieka, — rzeźbią historię".

Sądzić wolno, że te nowe drgnienia i wskazówki dadzą znać o sobie na następnym kongresie rzymskim w roku 1955.

Na sam koniec zachowuję jedną jeszcze uwagę typu organizacyjnego, ale ważną i merytorycznie.

Na kongresie paryskim pracowała sekcja historii religii (tak się zdarzyło, że i mój referat o „Dantem i islamie" trafił tam właśnie). Sekcja pracowała dobrze — ale nie miała rannego raportu syntetycznego. Otóż jednym z wniosków przedstawionych przez Komitet Historyczny plenarnemu końcowemu zebraniu do uchwały — a było ich zaledwie parę — był wniosek, aby na przyszłym kongresie historia religii objęta była syntetycznym raportem.

Sądzę, że wniosek ten dość dobrze się łączy z wyżej cytowanymi zapowiedziami pewnych nowych przejawów. Religie bowiem, a zwłaszcza chrystianizm, nie lubią abstrahować od odpowiedzialności i osób i narodów wobec historii.

JAN BŁASZCZYNA

POLITYKA I SIŁY ZBROJNE

(Nadesłane)

ZAPEWNIENIE bezpieczeństwa zewnętrznego i obrona niepodległego bytu państwowego oto główne zadanie sił zbrojnych każdego kraju. W przeszłym międzywojniu państwa europejskie poświęcały znaczne dochody z krzywdą dla innych dziedzin życia narodowego na siły zbrojne w nadziei, że siły zbrojne to zadanie wykonają. Ostatnia wojna wykazała dobitnie jak krótkowzroczne to były rachuby i jak bardzo był zmarnowany pieniądz, włożony w szkolenie często milionowych rezerw, których nie zdążono nawet zmobilizować.

Siły zbrojne Austrii, Czecho-Słowacji i państw bałtyckich nie oddały ani jednego strzału, kiedy te państwa traciły niepodległość, a siły zbrojne innych państw nie zapewniły swym narodom niepodległości, mimo bohaterstwa żołnierza, jak w wypadku Polski, Grecji i Jugosławii.

Druga wojna wykazała, że zadanie to wykonać mogą tylko siły zbrojne mocarstwa, a więc państwa dysponującego odpowiednią masą ludzką, przestrzenią, zasobami materialnymi i wysoko rozwiniętym aparatem technicznym.

Propaganda naszego rządu i nasza wiara, że wojsko polskie jest gwarantem naszej niepodległości, kosztowały nas wiele goryczy i rozczarowań.

Siła wojskowa państwa jest rzeczą względną i zmienną, bo zależną od siły ewentualnych przeciwników. W r. 1920 nasze wojsko istotnie było gwarantem naszej niepodległości (zresztą nie tylko naszej), zadanie to wypełniło chlubnie, napełniając nas ufnością we własne siły i budząc szacunek w świecie dla odrodzonego państwa.

Jednakże ufność we własne siły a zarozumiałe mniemanie o sobie to dwie różne rzeczy. Każde zwycięstwo rodzi owoce dobre i złe. To złe pokłosie zwycięstwa z r. 1920, tę odwrotną stronę medalu z napisem „Cud nad Wisłą" zobaczyliśmy we wrześniu r. 1939.

Koncepcja polityczna i wojskowa naszych decydujących czynników przed r. 1939, była fałszywa. W naszym położeniu, jeżeli nawet połowę dochodów poświęcimy na wojsko, zmieniając kraj w obóz warowny, to i tak głównego celu nie osiągniemy, bo wojsko nie jest w stanie wykonać głównego swego zadania.

Nie można łożyć olbrzymich wydatków na straż pożarną, wiedząc, że nie jest ona w stanie ugasić pożaru.

W polskim położeniu geograficznym i wojskowym należy przyjąć za pewnik, że walczyć możemy jedynie w oparciu o potężnych sojuszników. Walkę w kraju należy potraktować jako wielką manifestację zbrojną w obronie swej niepodległości, jako przejaw żywotności sił narodu, jako protest przeciw napadowi i jako nasz wkład do wspólnego zwycięstwa.

Do tego celu nie potrzeba kilkudziesięciu dywizji, milionowych rezerw, a co zatem idzie zubożania kraju, niskiego standartu życiowego i szeregu nierozwiązanych problemów społecznych i gospodarczych.

Główny cel, to jest obronę naszej niepodległości i całości terytorium państwowego należy złożyć w ręce polityków, którzy drogą sojuszy potrafią uniknąć wojny lokalnej, wprowadzą państwo do obozu zwycięzców i w trakcie trwania wojny potrafią dopilnować wykonania tych sojuszy.

Pierwsza wojna światowa jest przykładem wspaniałych sukcesów polityki polskiej przy znikomym udziale sił zbrojnych. Jeżeli uwzględnimy, że pierwsze, powstałe siły walczyły w obozie przeciwników, to triumf polityki polskiej był tym większy.

Przecież na upartego to były formalne podstawy (oczywiście nigdy rzeczowe) do zaliczenia nas do obozu państw pobitych, wobec NKN, legionów, fiaska legionu Puławskiego i późno powstałej armii Hallera.

14 punktów Wilsona ze specjalnym podkreśleniem niepodległości Polski z góry przesądziło naszą sprawę w sensie pomyślnym.

I o ten 13 wilsonowski punkt nie walczyły dywizje pancerne i piesze, marynarka i lotnictwo, największa armia podziemna, nie zginęły milionowe rzesze obywateli polskich, spalone mury Warszawy nie sterczały jak bolesny wyrzut w stronę Zachodu i jak groźne memento dla nas i przyszłych polskich pokoleń i nigdzie na sojuszniczych cmentarzach nie było tyle tysięcy krzyży na grobach żołnierzy, którzy w polskich mundurach za polską tylko sprawę chcieli umierać.

W pierwszej wojnie światowej politycy polscy swoje wysiłki polityczne chcieli tylko podkreślić, podcieniować niejako udziałem polskich sił zbrojnych w walce, a w minionej wojnie wydaje się, że polską politykę zabazowano wyłącznie na walce zbrojnej wojska, po prostu chciano tylko sumować i dyskontować to, czego dokonały Armia Podziemna w kraju i nasze wojsko zagranicą.

Działanie wojskowe nie było funkcją wykładniczą myśli politycznej, ale odwrotnie, polityka chciała być odblaskiem i ukoronowaniem wysiłku zbrojnego.

Takie nastawienie umysłowe ludzi, którzy od r. 1920 uwierzyli wyłącznie w skuteczność wysiłku zbrojnego i po-

litykę wprzęgli w służbę strategii wojskowej, obserwuje się nadal wśród Polaków.

Dyskusja, która się toczy na łamach całej prasy polskiej na temat ewentualnego utworzenia i użycia sił zbrojnych ma swoje głębokie uzasadnienie psychologiczne w klęsce polityki polskiej w ostatniej wojnie. Ta rozwaga i krytycyzm odnośnie szafowania polską krwią (jak gdyby ona była tańsza od angielskiej czy amerykańskiej) to nie bojaźń i wygodnictwo społeczeństwa, które potrafi umierać za słuszną sprawę, ale świadomość ogromu doznanej klęski, troska o siły biologiczne narodu i zdawanie sobie sprawy, że wysiłek żołnierza najbardziej udany, że morze krwi ludzkiej przelane — mogą się skończyć klęską, jeżeli zawiedzie mądre działanie polityczne, czy nie dopiszą wpływy, często zakulisowe, na ludzi, od których zależą wielkie decyzje.

Przed polityką polską w okresie nowej, nadciągającej wojny stają zadania, które nie mają analogii w przeszłości.

Kraj nie jest podzielony między wroga i sojusznika, nie ma potrzeby dwóch orientacji (oczywiście niepodległościowych), wszystko nas dzieli z Rosją a wszystko łączy z Zachodem. Nie mamy wątpliwości, że ta wojna będzie dla Zachodu zwycięska. Mimo Teheranu i Jałty ciągle wierzymy w Zachód.

Jeżeli jednak uwzględnimy, że cały naród zostanie wprzęgnięty w machinę wojenną Rosji, że na polach bitew pojawią się dywizje Rokossowskiego a nad Londynem samoloty z polskimi barwami, by tym razem odegrać odwrotną rolę w „Battle of Britain", jeżeli uwzględnimy rolę zachodnich Niemiec (na szczęście istnieją też wschodnie Niemcy), to zarysowuje się przed nami groźne niebezpieczeństwo: w zwycięskiej wojnie Polska może się znaleźć w obozie pobitych. W wyniku grozi to znowu przesuwaniem milionów ludzi, a więc klęską równą Jałcie.

Zaliczenie nas do obozu aliantów, obrona naszego stanu posiadania na zachodzie, a więc uświadamianie o niebezpieczeństwie niemieckim, oto ważne zadania dla polityki polskiej.

I sądzę, że czas wzmocnić nasze wysiłki w tym kierunku, gdyż o grozie niebezpieczeństwa sowieckiego świat już jest dostatecznie uświadomiony (przy dużym zresztą polskim udziale).

Udowadnianie, że nie możemy być narodem na kółkach, narodem nomadów XX wieku, przepędzanym decyzjami przy zielonych stolikach, podkreślanie stałe i żywe niebezpieczeństwa niemieckiego, strat od nich poniesionych, ich zamiarów wobec nas, ujawnionych w całej swej zbrodniczości w ostatniej wojnie, faktu, że nie Polacy, ale alianci Niemców przesiedlili, posługiwanie się przesłankami natury historycznej, geograficznej, etnograficznej i gospodarczej, uwypuklanie faktu, że Polacy na Ziemiach Odzyskanych zastali ugór, zgliszcza i pola minowe, że cały wysiłek narodu polskiego poszedł w zagospodarowanie tych ziem, posługiwanie się statystyką niemiecką o wyludnianiu się tych ziem pod panowaniem niemieckim przez ucieczkę ludności na zachód, o znanej powszechnie „Osthilfe" — oto tematy dla tej kampanii, której nie przeprowadzą żadne sztaby, żadne dywizje, ale ludzie nauki, literaci, publicyści, a nade wszystko politycy.

Dla Zachodu polskie państwo legalne to nie my emigracja, ale Polska Bieruta; Polskie Siły Zbrojne, to nie my cywile, rozproszeni po kopalniach, roli, fabrykach i warsztatach całej kuli ziemskiej, ale wojsko Rokossowskiego.

Stałe przypominanie i uświadamianie jak do tego doszło (ale nie w polskiej prasie lecz w publikacjach w różnych językach, głównie w angielskim), o dokonanej na nas zdradzie, o demobilizacji Polskich Sił Zbrojnych, o nieugiętej postawie narodu polskiego, oto tematy do działania, które ma zapobiec temu niebezpieczeństwu.

Ludzie piszący, zwłaszcza w języku angielskim, przynoszą sprawie polskiej większą korzyść od niejednej wygranej bitwy. Każdy z nas jest tych zadań w pełni świadom, ale chodzi o ich realizację, o celową i zręczną (niekoniecznie z rozmachem prowadzoną) propagandę. I do tego należy zmobilizować nie urzędników, ale polityków i ludzi pióra, którzy potrafią to ująć w sposób rzeczowy, przekonywający i sugestywny i odpowiednim kolportażem to rozprowadzić.

Czy nasza wielka emigracja, złożona z ludzi małych podoła temu zadaniu?

Kilka ośrodków polityki polskiej, rząd bez autorytetu, rozbite na kilkoro stronnictwa polityczne, poważnieni przywódcy, rozproszenie wysiłków i pieniędzy w dziesiątkach przeróżnych organizacji i bierna, bo harująca w ciężkich warunkach masa uchodźcza — oto obraz, który od lat kilku budzi poważne obawy i niewiarę w polski wysiłek.

Czy w nowej wojnie dopiszą polscy politycy, czy ponownie skrwawieni znowu mamy drżeć ze strachu przed nowym zwycięstwem — oto pytania, które stawiamy sobie codzień od lat.

I znowu tu mamy poważne wątpliwości. Przede wszystkim wydaje się, że wleczemy się w ogonie wydarzeń jak kierowca ze spóźnioną reakcją, narażeni na nowe katastrofy.

Głównym ośrodkiem, sercem i mózgiem emigracji, pozostaje od lat 10 Wielka Brytania. Od r. 1939 świat faktycznie przewrócił się, zmieniając całkowicie układ stosunków i sił międzynarodowych. Wszyscy wiemy, że główne decyzje zapadają i zapadną w Stanach Zjednoczonych.

Na decyzję dowódców wojskowych czasami wpływają... tabory. Przegrupowanie tyłów jest tak kłopotliwe, że wolą wybrać decyzję połowiczną, a więc często klęskową. Otóż nieraz się wydaje, że te ugrupowania tyłowe emigracji, te posiadane domy, te interesy (często ledwie zipiące), te posady w rozlicznych komitetach, to bujne życie londyńskie — te tabory głównych sił emigracji, nie pozwalają naszym decydującym czynnikom przenieść swej bazy do Waszyngtonu.

Przykład uchwał, działanie ONZ i wojny koreańskiej wybitnie wskazuje, że pod osłoną ONZ działa potęga Stanów Zjednoczonych. Niechęć do zbrojeń i ofiar Europy zachodniej doprowadzą do tego, że przyszłą wojnę muszą prowadzić i wygrać Stany Zjednoczone same przy silnym współdziałaniu Wielkiej Brytanii i dominiów. Należy więc oczekiwać, że przyszły pokój, często zresztą nazywany „pax americana" będzie w logicznym następstwie dyktatem Stanów Zjednoczonych, ubranym w formę uchwał ONZ ery pseudozbiorowych traktatów.

Przekonanie Stanów Zjednoczonych o słuszności naszej sprawy, zawarcie z nimi porozumienia politycznego i wojskowego, oto cele, które musimy osiągnąć, a które są trudno osiągalne z Europy.

W prasie angielskiej kilkakrotnie zjawiło się określenie sojuszu polsko-brytyjskiego, jako „niemoralnego", bo niewykonalnego. Aczkolwiek wszystko musimy zrobić, by zdobyć i utrzymać przyjaźń narodu brytyjskiego, to jednak nawet ponowne „umoralnienie" naszego sojuszu nie daje nam gwarancji osiągnięcia naszych celów. Te gwarancje musimy otrzymać z pierwszej ręki.

Czy w zbliżającej się wojnie należy odtworzyć Polskie Siły Zbrojne, w jakiej formie i jak ich użyć?

Po wybuchu wojny koreańskiej w prasie angielskiej pojawiły się listy i artykuły, domagające się utworzenia Legii Cudzoziemskiej. Na ten temat dyskutowano też w Izbie Gmin. Oczywiście na pierwszym miejscu wymieniono Polaków. Polacy nigdy nie byli

dobrymi elementem do wojsk zaciężnych, prócz wysokiego żołdu zawsze musieli mieć jakiś cel. W tej dziedzinie od czasów Dąbrowskiego nie zmieniliśmy się. Przez długie wieki, kopalnią wojsk zaciężnych były Niemcy; Zachód łapczywym okiem wpatruje się w tę kopalnię, ale nawet Niemcy nie bardzo się kwapią, względnie bardzo umiejętnie dają się prosić.

Dopóki Ameryka nie ogłosi celów wojny, a więc nie wykaże czystości swych zamiarów, nie znajdzie wśród nas kandydatów do nowych poświęceń... za cudze sprawy. Natomiast jeżeli sojusznicy odtworzą sojusz z legalnymi władzami R. P., to emigracja od ofiary krwi nie może się uchylić. Nie możemy przekreślić sensu naszego tu pozostania. Wysiłek polityczny musimy poprzeć wysiłkiem zbrojnym, jednak mamy prawo żądać, by siły te zostały użyte wyłącznie dla sprawy polskiej. Żołnierzom naszym, którzy pod Napoleonem walczyli również na wszystkich lądach świata (dosłownie, bo nawet w Ameryce), także się wydawało, że ta walka prowadzi do Polski. Nasz marsz z ziemi włoskiej do Polski powtórzył się... bez skutku. Nie pomogło nawet, że był to tym razem bliźniaczy marsz z ziemi włoskiej i angielskiej.

Najwyższy czas skończyć z polityką „rozsławiania oręża polskiego". Celem walki zbrojnej są konkretne zadania polityczne a nie „złote zgłoski historii" i materiały na żałobne akademie. Czasy, kiedy walczono dla walki samej i chodzono w sławie jak w słońcu, minęły niepowrotnie. Wojsko jest zbrojnym ramieniem narodu, a jego walka jest przedłużeniem i wykonaniem polityki i niczym więcej. Nie zanosi się tym razem na wielkie Polskie Siły Zbrojne. Dlatego też opieranie zbyt wielkich nadziei na tym małym, nie powstałym jeszcze wojsku, byłoby lekkomyślnością.

Jeden z pisarzy przedwojennych pisząc o roli legionów w pierwszej wojnie światowej przytoczył dowcipną bajkę Ezopa: Dwa potężne woły wracają w jarzmie z pola. Na czole jednego wołu siedzi mucha. Przelatująca obok mucha pyta: „Skąd wracacie?" „Z orki", odparła dumnie mucha.

Nie łudźmy się, że ta mucha na czole olbrzymów rozwiąże wszystkie nasze bolączki. Unikniemy wielu rozczarowań, jeżeli na te rzeczy popatrzymy we właściwej proporcji.

Nie wmawiajmy sobie, że mamy do zaofiarowania Zachodowi coś bardzo cennego. Jeżeli chodzi o liczbę, to Niemcy nas zawsze przelicytują. Stosunek kilkuset tysięcy do 40 milionów — jak mucha do wołu.

Rozwiązania musimy szukać w płaszczyźnie moralnej i politycznej, popierając je oczywiście czynem wojskowym w miarę naszych skromnych możliwości.

Jesteśmy narodem prężnym, zdrowym i w Europie środkowej największym. Przekonanie Anglosasów a w pierwszym rzędzie Amerykanów, że w tej części Europy jest miejsce na silną Polskę, jako ośrodek krystalizacyjny Europy środkowej, że ta Polska będzie pozytywnym wkładem do pokoju światowego, to najpewniejszy środek do osiągnięcia naszych celów, o które walczymy.

Cele te są wielkie i trudne do osiągnięcia, ale z góry trzeba zdawać sobie sprawę, że jeżeli ich nie zdołają osiągnąć nasi politycy, to nie osiągnie ich najdzielniejsze i najofiarniejsze wojsko.

ZACHOWAJMY DLA POLSKOŚCI DZIECI W NIEMCZECH

Zaalarmowane przez organizacje polskie w Niemczech Prezydium Komitetu Wykonawczego Zjednoczenia Polskiego Uchodźstwa Wojennego zwróciło się do trzech Wysokich Komisarzy w Niemczech oraz do IRO z prośbą o wyjaśnienie, czy istotnie istnieje zamiar oddania obozów emigracyjnych pod opiekę i administrację niemiecką.

Najobszerniejszą i najbardziej rzeczową odpowiedź otrzymano z biura brytyjskiego Komisarza. Wynika z niej wyraźnie, że Komisja Aliancka nie ma zamiaru oddania obozów pod administrację niemiecką. Do 31 marca 1951 r. IRO w porozumieniu z biurami Wysokich Komisarzy będzie prowadziło akcję osiedlania uchodźców. Władze okupacyjne mają nadzieję, że do tego czasu wszyscy nadający się do emigracji będą przesiedleni.

Pozostaje wciąż zagadnienie tych uchodźców, którzy jako nie nadający się do emigracji są włączeni do gospodarki niemieckiej. Biuro brytyjskiego Komisarza oświadcza, że według zamiarów państw okupacyjnych włączenie do gospodarki niemieckiej bynajmniej nie oznacza likwidacji organizacji narodowościowych. Narodowe Komitety zostały poinformowane, iż mogą zwracać się do władz niemieckich o uznanie i działać swobodnie w dziedzinie opieki i kultury. Rozważono troskliwie problem szkół narodowościowych. Czynniki okupacyjne doszły jednak do przekonania, że utrzymywanie szkół narodowościowych utrudni przystosowywanie się do życia w warunkach niemieckich. Według urzędowych założeń wysiedleńcy pozostający w Niemczech winni być wychowywani w myśl wytycznych ustalonych dla Niemiec. Podkreśla się jednak, że osoby włączone do gospodarki niemieckiej, o ile nie ma przeszkód innej natury, mogą być przesiedlane.

Jak w praktyce wygląda to wychowywanie świadczy incydent, który miał miejsce w szkole polskiej w Ludwigsburgu. Pewnego dnia zjawili się urzędnicy niemieccy i w brutalny sposób nakazali zamknięcie szkoły, zmuszając do przerwania odbywającej się właśnie lekcji języka polskiego. Kamieniem obrazy dla niemieckich urzędników było to, że w Niemczech w obozie pod administracją niemiecką, uczy się dzieci polskie po polsku.

Polskie organizacje społeczne z ZPUW na czele wyczerpały wszystkie możliwości interwencji u władz państw okupacyjnych i w IRO, by utrzymać polską szkołę. Niestety bez wyników. Przystosowanie do życia w Niemczech będzie oznaczało w praktyce asymilowanie polskich dzieci. Polacy w całym świecie winni zdać sobie sprawę z tego. Jedynym sposobem zlikwidowania tej niezwykłej sprawy będzie usunięcie wszystkich polskich dzieci wraz z rodzicami z Niemiec.

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO

ZEBRANIA STRONNICTWA NARODOWEGO

W ciągu września odbyło się na terenie Wielkiej Brytanii szereg zebrań organizowanych przez Koła Stronnictwa Narodowego. Oto kilka największych spośród nich.

Dnia 16 września Koło Stronnictwa Narodowego w Guildford zorganizowało zebranie publiczne z referatem p. Wiktora Trościanki pt. „Walka o Polskę trwa". Referat wzbudził wielkie zainteresowanie, czego wyrazem było zaproszenie p. Trościanki do paru innych ośrodków polskich w Surrey.

17 września odbyło się pierwsze polskie zgromadzenie publiczne w Lancaster. Zorganizowało je Koło Stronnictwa Narodowego. Prelegentem był przybyły z Londynu p. Władysław Kański. Mówił on na temat „Polityka polska a położenie międzynarodowe". Zebranie miało charakter dyskusyjny. Zarówno liczny udział miejscowych Polaków, jak i ożywiona dyskusja świadczyły o zainteresowaniach społecznych w środowisku Lancaster.

24 września Koło Stronnictwa Narodowego w Manchester zorganizowało zebranie publiczne, poświęcone zagadnieniu położenia międzynarodowego i polityki polskiej. Referentem był przybyły z Londynu p. Zbigniew Stypułkowski. Na sali zgromadziło się ponad 400 osób. W dyskusji zabierali głos również przeciwnicy polityczni kierunku narodowego, którym p. Stypułkowski odpowiadał z wielką swadą, zyskując bardzo żywy poklask ogromnej większości zgromadzonych.

Tegoż dnia w Londynie odbyło się miesięczne zebranie członków i sympatyków Stronnictwa Narodowego z referatem płk Tadeusza Wasilewskiego na temat „Zarys problematyki kampanii wrześniowej 1939 r." Zupełnie nowe i szerokie ujęcie zagadnienia wywołało tak ożywioną dyskusję, że w dniu 1 października zwołano następne zebranie, poświęcone wyłącznie przedyskutowaniu poruszonych w referacie problemów.

POPRAWA STOSUNKÓW W SZKOLNICTWIE WE FRANCJI

W wyniku zatargu między Francją a rządem Bieruta, rząd francuski usunął część mianowanych przez konsulat bierutowski nauczycieli polskich we Francji i zdecydował tworzyć szkoły polskie dla Polaków we własnym zakresie.

W północnej Francji w okręgu górniczo-przemysłowym od kilku dziesiątków lat życie parusettysięcznej masy emigrantów polskich skupiało się w dużej mierze przy szkołach i nauczycielach polskich, utrzymywanych częściowo przez konsulaty polskie a częściowo przez przedsiębiorstwa francuskie. Rząd francuski po wojnie, uznawszy rząd Bieruta, przekazał szkolnictwo polskie pod wpływ komunistów.

Obecna zmiana polityki francuskiej w tym zakresie otwiera spore nadzieje dla zasadniczej poprawy stosunków. Istnieje możliwość obsadzenia stanowisk nauczycielskich w szkołach polskich we Francji przez niepodległych Polaków. W tej sprawie spodziewane jest w najbliższym czasie specjalne rozporządzenie rządowe francuskie. Należy żywić nadzieję, że organizacje społeczne polskie we Francji potrafią zdobyć się na należyty wysiłek i inicjatywę dla znalezienia odpowiedniej kadry nauczycielskiej dla szkolnictwa polskiego.

ZMIANY W PREZYDIUM ZPUW

Po zgonie śp. prezesa Józefa Rożańskiego obowiązki prezesa K.W. ZPUW objął urzędujący wiceprezes p. Witold Olszewski.

P. J. Pączkowski z powodów natury osobistej zrezygnował ze stanowiska wiceprezesa ZPUW.

Wobec wyjazdu do Australii p. Z. Michałowski zrezygnował ze stanowiska sekretarza ZPUW. Obowiązki sekretarza sprawuje zastępczo p. L. Rudowski.

ZPUW DZIĘKUJE POLONII AMERYKAŃSKIEJ

Prezydium K.W. ZPUW powzięło uchwałę następującej treści:

„W imieniu polskiego uchodźstwa politycznego Prezydium K.W. ZPUW składa wyrazy braterskiej wdzięczności całej Polonii amerykańskiej, organizacjom polonijnym i prasie polonijnej za ogromny, konsekwentny i wobec tego uwieńczony dużymi wynikami wysiłek w sprawie osiedlenia Polaków w Stanach Zjednoczonych.

Zagadnienie to nie jest jeszcze rozwiązane do końca. Jednakże nowa ustawa imigracyjna, którą organizacje polonijne i opinia publiczna zajmowały się z godną wysokiego uznania energią, stwarza dalsze możliwości osiedlenia Polaków w gościnnym, wolnym kraju amerykańskim.

Prezydium K.W. ZPUW wyraża oparte na dotychczasowych doświadczeniach przekonanie, że jak do tej pory, tak i nadal uchodźstwo polskie będzie mogło liczyć na niesłabnącą ofiarność, przedsiębiorczość i energię oraz braterską troskliwość Polonii amerykańskiej".

PAMIĘCI PUŻAKA

W sobotę 30 ub.m. w sali Central Hall w Londynie staraniem Polskiej Partii Socjalistycznej odbyło się manifestacyjne zgromadzenie dla uczczenia pamięci zamęczonego w maju br. w więzieniu Bezpieki śp. Kazimierza Pużaka, sekretarza generalnego PPS i przewodniczącego Rady Jedności Narodowej w kraju.

Na zebraniu przemawiali pp.: Z. Zaremba, A. Ciołkosz, gen. T. Komorowski, przedstawiciel Międzynarodówki Socjalistycznej oraz przedstawiciel socjalistów środkowo-europejskich; sekretarz generalny Labour Party Morgan Phillips nadesłał list.

Na zgromadzenie przybyło Prezydium Rady Politycznej z wiceprzewodniczącym min. Z. Berezowskim oraz prezydium Wydziału Wykonawczego Rady z prezesem min. J. Zdziechowskim; Polonia londyńska stawiła się bardzo licznie.

NOWE PISMO W NIEMCZECH

W Zagłębiu Ruhry w Herne ukazywać się zaczął nowy tygodnik polski pod nazwą „Naród". Jest on przeznaczony przede wszystkim dla starej emigracji polskiej pracującej w Westfalii i północnej Nadrenii. Ukazało się dotąd 7 numerów tego pisma, redagowanego przez pp. Wacława Jankowskiego ze współudziałem Stanisława Mościńskiego.

NAGRODY LITERACKIE ODDZ. WARTOWNICZYCH

Polskie Oddziały Wartownicze przy wojskach amerykańskich w Europie postanowiły dla upamiętnienia 5 rocznicy swego istnienia ustanowić trzy nagrody pisarskie: 1) za całokształt działalności pisarskiej (£ 100), 2) dla młodego pisarza (£ 50) i 3) za utwór (dzieło) dający najgłębszy wyraz przeżyciom zbiorowym polskim w latach 1939-49 (£ 50).

W skład jury pod przewodnictwem prof. S. Strońskiego wchodzą pp.: A. Bogusławski, L. Bojczuk, J. Filipkowski i T. Terlecki.

Ogłoszenie wyniku i wręczenie nagród odbędzie się w Londynie w dniu 11 listopada.

NA MARGINESIE

AWANS SPOŁECZNY

Ludzie skarżą się, że sanacja nic się nie zmieniła i usiłuje na emigracji powtarzać w karykaturze to samo, co robiła przed wojną w Polsce. Nie jest to całkiem słuszne. Wojna przecież coś zmieniła: przed wojną mieliśmy w Polsce rządy pułkowników, obecnie na emigracji mamy rządy generałów.

„MYŚL POLSKA"
założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się dwa razy w miesiącu. Redakcja i administracja: 8, Alma Terrace, Allen St., London, W. 8. Tel. WEStern 1797. Prenumerata półroczna 18 sh lub 3 dol., roczna £ 1.16.0 lub 6 dol.

Printed for „Myśl Polska" by „Veritas Foundation Press", 12, Praed Mews, London, W.2. Tel. PAD 9734. October 15 1950